

Jako zapalony miłośnik paleontologii i ewolucji, nabyłem nowe wydanie "O powstawaniu gatunków" Darwina. Wszystko rokowało świetnie: ulepszone tłumaczenie z języka angielskiego, profesjonalne komentarze profesora Januarego Weinerja, oraz solidny wydawca (Wydawnictwa Uniwersytetu Warszawskiego).

Jeśli kogoś nie męczą szczegółowe i liczne wywody logiczne, to książkę tę warto przeczytać. Czytelnik taki ujrzy jak się dzieje nauka in statu nascendi i jak trudno jest zrobić długi krok z ciemności w światło. Zobaczy – ile razy trzeba pałać głupotę, żeby znaleźć wielką i piękną prawdę. Ujrzy też jak głęboka była to ciemność, za czasów Darwina: były to czasy, gdy nie wiadomo za bardzo skąd się wywodzą hodowlane rasy (czy psy pochodzą od jednego czy od wielu dzikich gatunków?), jakie konkretnie są prawa dziedziczenia (i dlaczego takie dziwne?), co tak naprawdę się dziedziczy (czy cechy nabyte również się dziedziczą? – sam Darwin nie był do końca pewien). Nie potrafiono porządnie datować geologicznych warstw ani nie wiadomo, że oceany i kontynenty nie istnieją odwiecznie na tych samych pozycjach.

Pomimo tego Darwin, opierając się na gąszczu faktów i poszlak, i to sto lat przed powstaniem genetyki, i tyleż przed teorią dryfu kontynentów, prawidłowo rozwikłał genezę gatunków, a przy okazji dosłownie "wystartował" kilka nowych gałęzi biologii, takich jak ekologia, czy biogeografia.

Czytelnik Darwina ze zdziwieniem zobaczy też Boga, jakiego już nie ma: Boga jawnie działającego, odpowiedzialnego za namacalny i obserwowalny skutek: pojawienie się na Ziemi gotowych gatunków. Szok!: teoria stworzenia gatunków przez Boga, jest w "O powstawaniu gatunków" traktowana jak normalna konkurencyjna teoria naukowa, i to jako jedyna, z którą Darwin regularnie konfrontuje swoją teorię (a nie z Lamarckiem!). W całym dziele jest fafnaście odniesień li to do "stworcy" li to do "stwarzania". I są to odniesienia w stylu: patrzcie! dobór tłumaczy coś co byłoby zupełnie niezrozumiałe gdyby przypisać to Bogu.

Był to ostatni czas w historii ludzkości, kiedy Bóg miał tu jeszcze coś do zrobienia. Ostatni czas, kiedy owa potrzeba nadnaturalnych mocy, aby wyjaśnić rzeczywistość, wydawała się oczywista. Po Darwinie, Bóg jest już tylko rzekomym suflerem natury, czy suflerem przypadku. Po Darwinie – trudno nawet Boga czynić stwórcą jakichś gorących bigbangowych plazm, czy zakrzywionych przestrzeni, odległych o miliardy lat czasu od jakiegokolwiek człowieczeństwa. Dzięki Darwinowi wiemy, że powstanie intelektu wymaga miliardów lat mozolnej ewolucji. A nie zaś odwrotnie – że powstanie ewolucji wymaga intelektu. Wstawianie Boga na początku historii staje się więc bardzo niechronologiczne. Jest postawieniem spraw na głowie. W tym sensie Darwin uśmiercił Boga – uczynił go cieniem natury, skazał go na banicję z naszego świata – do zaświatów.

Nowe polskie wydanie "O powstawaniu gatunków" jest po polsku specyficzne: ze wstępu pióra Weinera dowiadujemy się, że *"Richard Dawkins, (...) dotknięty do żywego notorycznym kwestionowaniem teorii ewolucji (...) wyruszył na antyreligijną krucjatę z fanatycznym zaciętrzewieniem godnym lepszej sprawy."*

W tymże wstępie wspomina się też, że *"opublikowanie na przełomie lat 70-tych i 80-tych XX wieku takich książek jak "Samolubny gen" Dawkinsa, "Socjobiologia" Wilsona, czy "Gaja" Lovelocka, a wcześniej "Przypadek i konieczność" Monoda, rozogniło debatę w krajach o wysokim poziomie cywilizacyjnym, ale nie u nas; jak często bywało w naszej historii, mieliśmy wtedy pilniejsze zajęcia. Wymienione książki dotarły do nas z dwudziestoletnim opóźnieniem, nie robiąc już na nikim większego wrażenia."*

Tutaj zdębiałem, wiedząc że 95 procent naszego narodu poznaje problemy etyczne z perspektywy kościelnych ambon, a nie z perspektywy przyrodniczej. Obiektywny przyrodniczy obraz naszej moralności powinien być przecież nami wstrząsając! poruszyć do głębi! rozognić debatę jak "w krajach o wysokim poziomie", przecie my Polaki też nie gęsi!

Nie dowierzając Weinerowi, że socjobiologia na nikim nie robi większego wrażenia, postanowiłem przeprowadzić ankietę wśród mieszkańców mojego miasteczka i wsi. Podpatrzyłem jak to robi Kaja Bryx – trzeba wycelować kamerę w pytanego i zadać mu wcześniej przygotowane pytanie.

Będąc trochę upośledzony we współczesnej elektronice, nie umiałem zaopatrzyć się w sensowną kamerę, więc przytroczyłem sobie do ramienia, na śmiesznym wysięgniku, starą dużą popsutą kamerę przemysłową, którą znalazłem na szkolnym śmietniku. Tak udziwnion, i z również nieczynnym mikrofonem, którego kabel wsadziłem do kieszeni spodni, ruszyłem na swój pierwszy tour sondażowy.

Acha – miałem też gotowe pytanie:

Czy socjobiologia zrobiła na Pani/Panu wrażenie?

Podejrzewając brak zrozumienia pytających przygotowałem też dodatkowe pytanie-podpowiedź:

Wilson? Hamilton? Axelrod? Altruizm odwzajemniony?

Na terenie gminy złowiłem aż kilkanaście osób, ale zgodnie z obawami, ich odpowiedzi trza było chyba uznać za negatywne. To znaczy pierwsza osoba zareagowała jak ten imam na ateistę w egipskiej telewizji ("co ono do mnie rozmawia?"). Druga osoba odpowiedziała na pytanie "Czy socjobiologia..." pytaniem: "Co biologia?"

Trzecia kazała mi "odsunąć na bok te kamere jeśli nie chcę wzięść w pysk". Dalsze indagowanie prowadziłem więc bez kamery, która i tak nie działała. Ale skutek był identyczny. Czwarta na przykład osoba, na pytanie "Czy socjobiologia zrobiła na Pani wrażenie?" odpowiedziała: "Co biologia zrobiła?" Natomiast pewien na oko dość sterany życiem pan trochę mamrocząco odpowiedział: "Co, biologia nie miała wrażenia? Zależy sie jaka dupa i jaka stara nie?" i tu porozumiewawczo mrugnął do mnie okiem. A porozumiewawcze mrgunięcie widać miał opanowane do absolutnej perfekcji.

Szkoda, że to się nie nagrało.

Analizując wieczorem statystycznie dane, doszedłem do wniosku (o solidnym poziomie ufności), że socjobiologia zaiste nie zrobiła wrażenia na mieszkańcach mojej wsi. I to dosłownie na nikim, tak jak pisał profesor Weiner.

□

Rozważając powody tego stanu rzeczy, zacząłem podejrzewać, że może nie do wszystkich ona jeszcze dotarła. Moje pytania były więc niefortunnie sformułowane, bo pierwszym powinno być: "Czy dotarła już do Pani/Pana socjobiologia?", a dopiero drugim – czy zrobiła wrażenie.

Postanowiłem więc zmienić taktykę i przeprowadzić swój wywiad wśród profesorów – naukowców. Zawód mój umożliwił mi łatwy dostęp aż do pięciu naukowców o wysokich stopniotytułach naukowych, pracujących w bardzo wysoko cenionej placówce naukowej (kategorii A+ w ministerialnym rankingu jakości jednostek naukowych). No i, naiwnie myślałem, pytając profesorów można było usprawnić proces pomijając dodatkowe pierwsze pytanie ("Czy dotarła już..").

Jakież było moje zdziwienie, gdy dowiedziałem się, że żaden z indagowanych profesorów nie słyszał o Wilsonie czy Hamiltonie, i nie bardzo wie o co chodzi. Jeden zaś też nie wiedział, ale chyba wiedział, że powinien wiedzieć, bo tak się zachnął na widok mojej kulawej kamery, że aż bąknął coś, że nie wie "z przyczyn obiektywnych".

Wieczorem, w fazie spokojnej obróbki statystycznej danych, wszedłem na Allegro i wystukałem: "E. Wilson, Socjobiologia". W rzeczy samej – wyrzuciło tylko jeden pożółkły egzemplarz w horrendalnej cenie stu czterdziestu złotych. Profesor mówił więc prawdę (o przyczynie trudności obiektywnych).

Zaś profesor Weiner, autor przedmowy do Darwina – też napisał prawdę. Socjobiologia na nikim w Polsce nie zrobiła wrażenia. Mylił się tylko co do tego, że socjobiologiczne treści już do nas dotarły. Niestety – jeszcze nie, choć opóźnienie już jest pięćdziesięcioletnie. A ponieważ obecnie – jak i w latach 70-tych, tak zresztą jak i w 80-tych, oraz jak i w innych częstych latach naszej historii – znowu mamy "pilniejsze zajęcia", to może nawet nie jest zbyt dobry moment, aby socjobiologia dotarła do Polski?

Szanowni czytelnicy – jak sądzicie, czy socjobiologia dotrze kiedyś do Polski?